Zanim usiadłem przed obcą kobietą i ze łzami w oczach opowiadałem jej o wszystkim, minęły jeszcze dwa miesiące. Zaczynało się słoneczne lato. Resztkami sił wyczłapałem się z domu, w pielgrzymce po lepsze. Blady, słaby, z podkrążonymi oczyma i pocący się ostatnimi dwoma miesiącami, panicznie szukałem ratunku, ze strachem o swoje życie. Pewnie cudownie rosły kwiaty, a ptaki swoim śpiewem niejednego wprawiały w zachwyt, dawały mu uśmiech i nutkę szczęścia z dreptania tego dnia po faliście wciśniętym w glebę wołomińskim bruku. Radośni ludzie załatwiali swoje sprawy, lekkim krokiem przecinając uliczki. Chodzili wpatrzeni w wystawy sklepowe, wznosili wzrok ku słońcu, mrużąc przy tym swoje oczy i łapczywie chłonąc promienie. Patrzyłem na nich i czułem przed nimi lęk. Dawno nie wychodziłem w dzień, a tym bardziej do zagęszczonych rejonów, od których dzieliło mnie kilka przecznic. Teraz musiałem, więc lazłem, a moje ruchy były przesycone nienaturalną lekkością, którą chciałem się wtopić do reszty świata i wiedziałem, że absolutnie w ten rytm miasta się nie wpasuję. Czułem każdy wzrok na swojej zmęczonej twarzy, który wyzwalał we mnie niekontrolowane tiki nerwowe. Świadomość, że ktoś idzie za mną i wpatruje się w moje kroki, czyniły je nienaturalnymi, a nawet je paraliżowały i czułem, jakbym podnosił galaretowate nogi wysoko, tak jak idzie się przez wysoki śnieg i czubki butów kierowałem wyżej bym przypadkiem pod tym śniegiem, o nic się nie potknął i nie przewrócił i nie stał się pośmiewiskiem dla tej strony ulicy, która jeszcze dziwaka we mnie nie dostrzegła. Może czułbym się lepiej, gdyby te ulice były jednak przykryte śniegiem, a ludzie pod kapturami bardziej zainteresowani tym, co się dzieje pod ich stopami niż tym, co wokół nich, ale było lato i tego swojego chodu ukryć w śniegu przed nimi nie mogłem. Patrzyłem w głąb ulicy, jak na cel do osiągnięcia, a nie zwykłą drogę, którą do niedawna przemierzałem krokiem tak lekkim, jak cała reszta. Dotarłem wreszcie do budynku, na ulicy mniej ruchliwej, wąskiej, schowanej w cieniu miasta i starych kamienic. Przed budynkiem jest charakterystyczne stare drzewo z tabliczką "pomnik przyrody", które wlazło na drogę, więc drogowcy z jednej strony oblali je asfaltem, przykrywając stary bruk. Wszedłem do budynku, na umówioną parę dni wcześniej wizytę. Usiadłem przed młodą kobietą z głową w dół i leciała mi z tego gorącego baniaka ciurkiem chemiczna woda, która lądowała obok moich butów na płytkach, tworząc coraz większą kałużę. Wiatrak szumiał w kącie, ale jego podmuch tylko delikatnie muskał mnie przez chwilę powietrzem i obracał się w inną stronę, jakby nie chciał w moją stronę patrzeć, zostawiał mnie mdlejącego i znów zerkał na mnie, by za chwile się obrócić. Przez ostatnie dwa miesiące wszystko się ode mnie odwróciło. Siedziałem z nadzieją, żeby tylko ona się ode mnie nie odkręciła na pięcie, bo to oznaczyłoby moją śmierć.

- Co się dzieje? - zapytała. Jej głos był anielski, taki któremu chce się odpowiadać i taki, którego chce się słuchać.
- Nie radzę sobie, absolutnie sobie nie radzę. Zaszyłem się, to ćpać zacząłem, nie umiem się zatrzymać.
- Co?
- Amfetamina, dropsy... wszystko! Mefedron... jak leci.
- Od kiedy nie ćpasz?
- Cztery dni... jakoś... ale zbliża się weekend, ja nie umiem wytrzymać!
- Jak wytrzymałeś te cztery dni? - pytała ze spokojem.
- Nie wychodziłem z domu, zabiłem się dechami.
- Myślę, że oddział dzienny będzie dla ciebie najlepszy, jest jeszcze oddział zamknięty, ale na...
- Zgadzam się na wszystko. Taki czy taki, co pani uważa... mi już wszystko jedno, byle coś, bo ja ze sobą nie wytrzymam.
- Dobrze, ale musisz wytrzymać ten weekend. Wiesz jak?
- No, nie wiem... może dalej zaszyję się w domu.
- No właśnie. Jeszcze jakieś pomysły?
- Wyłączę telefon, to nikt mnie nie wyciągnie.
- Bardzo dobry pomysł.
- I.... i buty wszystkie wrzucę do pralki, upiorę... to nie będzie w czym wyjść.

Uśmiechnęła się, a może ciągle się uśmiechała, tylko na koniec na nią spojrzałem. Wcześniej wstyd kazał mi obserwować podłogę i nogą rozcierać pot na płytkach. Opowiadałem jej jeszcze o swoim żywocie, od którego nawet wiatrak się odwracał.

- Na dziewiątą w poniedziałek. Zajęcia trwają po pięć godzin do czternastej. Przez dwa miesiące. Na górze jest sala. Zupa jest codziennie. Chce pan obejrzeć?
- Nie, zobaczę w poniedziałek.
- To teraz pan poczeka, pójdzie do doktor, ona wypiszę skierowanie na oddział i zada kilka pytań. - wskazała mi drzwi do psychiatry.
- Dobrze, a mogę wyjść na chwilę.
- Tak, ale na chwilę.

Wyszedłem i pobiegłem do domu, bo byłem mokry jak szmata sprzątaczki, która właśnie wycierała parapet spod szyby piekarni po drodze i gdzieś już miałem ludzi wokół i ich wzrok, i ich sprawy, i lekkie kroki. Nie wiem jak ale biegłem, bo przecież sport, jaki ostatnio uprawiałem, to było ćpanie, a jednak biegłem ile sił w nogach i wiatru w płucach. Przebrałem się i spotkałem w drodze powrotnej przyjaciela, a ten podwiózł mnie do poradni.
Psychiatra pytała o dziwne rzeczy, takie, o których nikt normalny nie wie.

-Ile piłem dziennie piw? - zapytała ponuro pani doktor, czytając jakąś ankietę, a odpowiedź wpisywała do komputera.
- Różnie. Czasem sześć, czasem osiem. Ciężko powiedzieć, czasem jedno. -odpowiadałem na kolejne pytanie.
- Ile piłem dziennie wódki? Podaj w mililitrach.
- Różnie to zależy, ile wypiłem piw. Jak wypiłem sześć piw to wódki ze trzysta, ale jak wódki wypiłem z pięćset to piw mniej. A często tylko wódkę.
- To ile tej wódki wpisać?
- No jak samą, to ja wiem... przez cały dzień? Hm... z sześćset tak średnio. No, chyba że w weekendowy dzień to z litr, ale to też zależy czy latem, czy w zimę. No, ale czasem nic, tylko piwa.

Tak nasza rozmowa się toczyła. Były też pytania o najdłuższy ciąg alkoholowy. Pytania o narkotyki z wyszczególnieniem każdego rodzaju i poczucie uzależnienia od nich, częstotliwość zażywania. W skrócie o wszystko. O leki, o próby samobójcze, o głosy i tak dalej, a w każdym temacie miałem coś niestety do powiedzenia.

Przez trzy miesiące po wszywce, byłem psychicznie zdruzgotany. Alkohol zastąpiłem całkowicie narkotykami wszelkiego rodzaju. Od amfetaminy po kokainę przez leki na sen, kończąc na mefedronie i dropsach. W przeszłości nieobce mi były też inne substancje takie jak morfina czy hasz. Robiłem listę później, to wyszło mi około trzynastu substancji zamiennych dla alkoholu. Nie próbowałem chyba jedynie heroiny i LSD. Z czego nad tym ostatnim ubolewałem. Dopiero po trzech miesiącach od wszywki dotarło do mnie, że jestem uzależniony od narkotyków. Wcześniej nie widziałem w tym problemu. Tego miesiąca przyjąłem do wiadomości, że jestem ćpunem. Fajnie... się poznać. Esperal to żadne lekarstwo na alkoholizm, człowiek nie pije, ale i nie trzeźwieje. Ja z upodobaniem do narkotyków zacząłem szybko, jedno zastępować drugim. Do czego to doprowadziło? Do tego, że byłem w tym miejscu, w którym byłem- na dnie. Chciałbym zaznaczyć, że przed wszywką umiałem obejść się bez nich długie okresy, nie była to jakaś zaawansowana potrzeba zażywania dragów. Pozbawiony alkoholu jednak szybko to zmieniłem.

Wyszedłem po rozmowie przed budynek, oparłem się o barierkę, drżącą ręką zapaliłem papierosa. Patrzyłem na to wielkie drzewo, na tej wąskiej ulicy. Rośnie mimo betonu i asfaltu. W otoczeniu sporo młodszych od siebie kamienic. Podszedłem do drzewa bliżej, obok niego, na pasku zieleni leżała opona zapełniona petami, kulkami styropianu i wodą, wychodząca lekko na chodnik. Obszedłem drzewo, była w nim duża dziupla na wysokości piersi, a w niej puste butelki po setkach i ćwiartkach. Odwróciłem głowę w stronę budynku i przeczytałem napis pod tabliczką NFZ „Ośrodek Profilaktyki i Terapii Uzależnień". Spojrzałem jeszcze raz na butelki w drzewie, rzuciłem peta do opony i poszedłem do domu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JaDziekuje, dodano 03.10.2017 09:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.